My Little Pony: Pony Life

Fakt, że z własnej woli zgłosiłam się do napisania tej recenzji, doskonale dowodzi, że powinnam sobie znaleźć jakieś hobby albo chociaż poważnie zastanowić się, co właściwie robię ze swoim życiem. O "My Little Pony: Pony Life" krążą różne opinie, choć te negatywne zdają się przeważać. Ale czy jest to tak, złe jak mogłoby się wydawać? Czy Equestria Times powinno mi dać podwyżkę za szkodliwe warunki pracy? A może jednak warto dać szansę temu serialowi? Poniżej postaram się udzielić odpowiedzi na te pytania.

Gray Picture

Ale zaczynając od początku. Z czym to się je? Czym to właściwie jest? "Pony life" to spin off "Friendship is magic". Nie jestem pewna, w którym momencie osadzona jest akcja (być może w żadnym konkretnym), ale Trixie i Discord są już dobrzy, a Twilight Sparkle jest już alikornem (chyba, że akurat nie jest, bo ktoś zapomniał dorysować jej skrzydeł, ale takie rzeczy się zdarzają). Odcinki rozgrywają się głównie w Sugarcube Corner, który został przejęty na własność przez Pinkie Pie. To właśnie tutaj dobrze znana grupa pastelowych koników przeżywa swoje przygody, uczy się lekcji na temat przyjaźni i alkoholizuje się… znaczy, popija jakieś dziwne eliksiry. Dlaczego? Też bym chciała to wiedzieć. “Ale dlaczego?” to pytanie, które nasuwa się regularnie podczas oglądania tego serialu, lecz o tym napiszę coś więcej później.

Zamiast tego zacznę od wyglądu kucyków i samej animacji, ponieważ jest to pierwsza rzecz, na którą zwraca się uwagę po włączeniu nowej kreskówki. Wygląd kucyków w "Pony life" jest dość specyficzny. Przypominają mi trochę tę plastikowe figurki zwierzątek, które były popularne wśród dzieciaków, gdy chodziłam do podstawówki - Littlest Pet Shop. One też miały takie malutkie ciałka i nieproporcjonalnie wielkie głowy. Ale serio, wielkie. Jak dotąd przy “Podróży przez generację” parę razy śmiałam się, że kolorowe osiołki mają wodogłowie, to te muszą cierpieć na wyjątkowo ciężki przypadek, aż ma się ochotę wysłać SMS o treści “Pomagam”. Ma to pewnie swój cel, można dzięki temu łatwiej nadawać postaciom ekspresyjne miny. Poza tym, design postaci nie jest najgorszy, ale też nie najlepszy.Powiedziałabym, że kuce są całkiem urocze (zwłaszcza ich błyszczące oczy), lecz jednocześnie też zdecydowanie brzydsze niż w FiM. Bardzo nie podoba mi się fryzura Rainbow Dash. Nie jestem też wielką fanką tak bardzo uproszczonych teł, jakie są w "Pony Life". Na dobrą sprawę, gdybym nie wiedziała, że akcja dzieje się Ponyville, to bym tego po tych kolorowych plamach nie poznała, bo tak bardzo różni się to od oryginalnego.

Oprócz wyglądu postaci, uproszczone zostały także ich charaktery. A może nie tyle uproszczone, co przesadzone. Twórcy postanowili uwypuklić najbardziej charakterystyczne cechy każdego z kucy, więc, na przykład, taka Rarity co chwilę płacze na swojej sofie (a przynajmniej odniosłam takie wrażenie, że robi to częściej, niż robiła we “Friendship is Magic”). Coś dziwnego stało się też z charakterem Fluttershy, która zaczęła być dość niemiła i co jakiś czas zarzuca odrobinę niepokojącymi tekstami.

Takie zachowanie Fluttershy jest jedną z tych rzeczy, które powodują pojawianie się wcześniej już zadanego pytania: “Ale dlaczego?”. Dlaczego Fluttershy potrafi zmieniać swój rozmiar? A Rainbow Dash nagle może cofać się w czasie? Dlaczego co jakiś czas Pinkie Pie wybucha i zmienia się w kupkę konfetti? Czemu te kolorowe koniki w ogóle piją eliksiry o nie zawsze znanym działaniu i tajemniczym pochodzeniu? Czemu nikt z twórców nie wpadł na pomysł, żeby wytłumaczyć choć część z tych rzeczy już w pierwszych odcinkach serialu? Czemu ja to właściwie oglądam? Dokąd nocą tupta jeż?

Jestem już starą babą. Może nie faktycznie pod względem wieku, ale zdecydowanie tak się czuję oglądając “Pony Life”. Bo domyślam się, że dzieciom się to pewnie podoba, lecz dla mnie, zwłaszcza parę pierwszych odcinków, było po prostu męczące. Głównie dlatego, że bardzo krótkie odcinki (jeden jedenastominutowy epizod składa się z dwóch około pięciominutowych części) wymuszają to, że przez większość czasu tempo akcji jest bardzo szybkie. Jeszcze w przypadku dwuczęściowych odcinków jest to do przeżycia, ale przy jednoczęściowych jest już gorzej. Jestem stara baba, do mnie trzeba powoli (albo “ja lubie wolmo”, jakby powiedziała pewna postać z “Kucy z bronksu”). Pięć minut to, według mnie, za mało, żeby właściwie opowiedzieć historię, zwłaszcza taką, która ma niby mieć jakiś morał czy zawierać lekcję na temat przyjaźni. Myślę, że mogę zaryzykować stwierdzenie, że długość odcinków jest zdecydowanie największym minusem “Pony life”. Gdyby je wydłużyć o pięć czy dziesięć minut, oglądałoby się ten serial znacznie przyjemniej.

Po obejrzeniu paru odcinków zauważyłam też, że niektóre motywy wydają się znajome, że już były bardzo podobne odcinki we “Friendship is Magic”.Na przykład odcinek o tym, jak Rarity narzeka, że jak się idzie pod namiot, to tam jest natura - takie coś już było. Z jednej strony, spin off jest (przynajmniej częściowo) osobnym tworem, ale z drugiej strony, ile razy można dostawać tego odgrzewanego kotleta?

Ponarzekałam, ale ostatecznie da się do szybszego tempa akcji przyzwyczaić i już po paru odcinkach mi to aż tak nie przeszkadzało, choć nadal uważam, że opowiadana historia dużo na tym traci. Ale muszę przyznać, że “Pony Life” bywa nawet miejscami zabawne. Dosyć dużo jest też takich małych językowych śmieszków. Mimo wszystko, da się to oglądać. Da się, ale po co? Jest zdecydowanie dużo lepszych kreskówek do obejrzenia czy sposobów na zmarnowanie jedenastu minut życia.